



Szczypta
Magii

opowiadanie

Uciec
z własnej głowy

Anett Lievre

Antologia *Szczypta magii*
Opowiadanie *Uciec z własnej głowy*

© Anett Lievre

© for the Polish edition by Wydawnictwo Hm...

All rights reserved.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody twórców.

Pod redakcją: D. B. Foryś

Redakcja: Monika Foltman

Korekta: Wydawnictwo Nie powiem

Projekt okładki: E.Raj

Skład: D. B. Foryś

Elementy graficzne w treści: pexels.com, unsplash.com,
freepik.com

ISBN druk: 978-83-67448-47-5

ISBN e-book: 978-83-67448-58-1

Wydanie pierwsze

Wojkowice 2023

Wydawnictwo Nie powiem

E-mail: redakcja@niepowiem.com.pl

Telefon: 518833244

Adres: ul. Sobieskiego 225/9, 42-580 Wojkowice

www.niepowiem.com.pl

Szczypta Magii

**NIE
POWIEM**

Anett Lievre

Uciec z własnej głowy



– Czy wszystko w porządku? Potrzebuje pani czegoś? Wody?

Popatrzyłam na stewardessę i w tym momencie zrobiło mi się ciemno przed oczami.

– Proszę pani?

Poczułam szarpnięcie za ramię, więc skinęłam głową. Zamrugałam kilka razy, lecz zanim odpowiedziałam, poczekałam, aż wzrok mi się wyostrzy, a tańczące mroczki znikną.

– Wodę i tabletkę przeciwbólową proszę.

Kobieta posłała mi niepewne spojrzenie, ale przytaknęła i z barowego stolika na kółkach zdjęła butelkę wody oraz szklankę. Machnięciem dłoni zrezygnowałam z naczynia, po czym zabrałam od niej napój oraz dwie tabletki w jednorazowym blistrze, który wyjęła z pojemnika z innymi lekami.

– Gdyby czegoś pani potrzebowała, wystarczy...

– Dziękuję, niczego więcej nie potrzebuję – warknęłam, nie patrząc jej w oczy. Chciałam, by dała mi święty spokój.

Co chwilę zerkałam na sposób, w jaki zajmowała się innymi pasażerami. Uśmiechała się, mówiła przyjaznym tonem, a jej jasne włosy, zaczesane na karku w luźnego koka, falowały, gdy pochylała się nad stolikiem. Ani razu nie popatrzyła już w moim kierunku, więc stwierdziłam, że swoim podłym zachowaniem skutecznie ją do siebie zniechęciłam.

Znów przeszył mnie nagły ból, dlatego połknęłam obie tabletki, popijając je sporą ilością wody. Czułam się jeszcze dziwniej, niż gdy płynęłam na lodołamaczu z Mawson Station – całorocznej stacji polarnej, do Ushuaia w Argentynie, skąd miałam lot powrotny do Australii. Mój wyjazd do ośrodka badawczego na Antarktydzie właśnie się kończył, tylko że... niewiele z niego pamiętałam. Wciąż i wciąż odnosiłam wrażenie, że dopiero

żegnałam się z narzeczonym na lotnisku w Melbourne, a okazało się, że minęło pół roku.

Dotknęłam skroni opuszkami palców i zaczęłam je masować, bo pulsujące, bolesne ukłucia najbardziej uderzały właśnie w ten obszar. Donośny szum rozmów na pokładzie doprowadzał mnie do szału, więc po chwili sięgnęłam po zatyczki do uszu. To nie był mój pierwszy lot, ale nigdy tak źle żadnego nie znosiłam. Zdawałam sobie sprawę, że działa się tak przez wysokość, na jakiej znajdował się samolot, jeśli jednak tak miał wyglądać łącznie kilkudziesięciogodzinny lot, to już wolałam płynąć wpław do domu.

Nie dałabyś rady, odezwał się w mojej głowie władczy głos, wywołując panikę. Znałam go, choć nie potrafiłam przypisać do konkretnej osoby. Z pewnością należał do mężczyzny. Ponieważ cechowałam się fotograficzną pamięcią, wyteżyłam umysł, analizując, czyj mógł być, jednak przed oczami pojawiały się tylko dobrze znane twarze. Ojca, narzeczonego, znajomych ze studiów, współpracowników, sąsiadów, byłych chłopaków, a nawet mężczyzn z ośrodka badawczego. Nic mi to nie pomogło. Głos nie należał do żadnego z nich.

Zamknęłam oczy, ignorując tę dziwną sytuację, ponieważ mógł to być zaledwie przeblysłak jakiejś nieistotnej rozmowy, akurat pasującej do moich myśli. Ułożyłam się wygodnie i próbowałam usnąć, ale żeby się to udało, musiałam coś sobie wyobrazić. Wróciłam wspomnieniami do chwili, gdy Cooper odwoził mnie na lotnisko. Byłam tak bardzo podekscytowana wyjazdem na Antarktydę, że nie mogłam usiedzieć w miejscu. Kręciłam się w fotelu, jakbym dostała owsików, piszczałam z byle powodu i śmiałam się niekontrolowanie. Narzeczony, moja bratnia dusza

i oaza spokoju w jednym, próbował mnie poskromić, lecz nie był w stanie, więc jedynie uśmiechał się prawym kącikiem ust, jak miewał w zwyczaju, gdy ktoś go irytował. Pogłaskałam najdroższego mi mężczyznę po policzku, tam, gdzie pojawił się słodki dołeczek, po czym poczochnęłam długie blond włosy, które wyglądały jak u surfera, choć Cooper nigdy nie uprawiał żadnego sportu. Podobnie do mnie był naukowcem i ćwiczył wyłącznie, wdrapując się na trzecie piętro po schodach. Nie wiedziałam, jak to robił, ale na ciele nie miał ani odrobiny zbędnego tłuszczu. Domyślałam się jedynie, że gdy badał swoje ukochane bakterie, wsiąkał tak bardzo w pracę, że zapominał jeść przez cały dzień.

Wspomnienie czułego pożegnalnego uśmiechu narzeczonego i szeptem wypowiedzianego „kocham cię” pozwoliły mi się zrelaksować i usnąć.

Obudził mnie dotyk czyjejś dłoni na przedramieniu. Przez kilka sekund nie wiedziałam, gdzie się znajduję, ale po chwili zaczęłam odbierać wszelkie bodźce. Podchodziliśmy do lądowania, a ja usnęłam z głową na ramieniu obcego mężczyzny. Czułam, że policzki mi zapłonęły, mimo to dzielnie rzuciłam mu oburzone spojrzenie, po którym cofnął rękę i się odsunął.

– Nie chciałem pani przestraszyć – usprawiedliwił się łamaną angielszczyzną, kiedy tylko wyjęłam zatyczki z uszu. Przytaknęłam, choć wciąż utrzymałam wrogie spojrzenie. – Niedługo lądujemy – dodał, jakbym o tym nie wiedziała.

– W porządku, dziękuję – odparłam zimnym tonem. Nie rozumiałam, skąd się to brało, przecież nigdy wcześniej tak się nie zachowywałam. Zawsze byłam pełna życzliwości dla innych.

Grzeczna dziewczynka, znów w mojej głowie pojawił się ten sam głos, który nawiedził mnie trzy godziny wcześniej. Tym razem brzmiał na zadowolonego z siebie i lekko rozbawionego.

Do usłyszenia za kilka godzin, Eingano...

Gdyby nie pas przytrzymujący mnie w miejscu, z pewnością wyskoczyłabym na przejście między fotelami, robiąc z siebie niezłe widowisko. Wzdłuż kręgosłupa rozlał się lodowaty dreszcz, który usztywnił moje plecy, a także postawił wszystkie włoski na ciele. Włącznie z buszem loków na głowie. Chwyciłam się podłokietników tak mocno, że aż skóra mi pobieleła na kostkach. Łapczywie brałam świszczące oddechy, które jednak nie przynosiły ulgi.

Zaczynałam wariować? Czyżbym nabawiła się jakiejś niezidentyfikowanej bakterii wywołującej halucynacje słuchowe? A może tak zadziałała dawka leków przeciwbólowych przyjętych na wysokości? Bałam się pokusić o postawienie diagnozy, że to początki schizofrenii lub choroby dwubiegunowej.

Jesteś zdrowa, Eingano. Przynajmniej dopóki ja nie postanowię inaczej.

Zamknęłam oczy, a spod powiek popłynęły łzy bezsilności i panicznego strachu. Zaczęłam krzyczeć w myślach, by głos dał mi spokój.

– Jeśli pani chce, może mnie pani trzymać za rękę. Proszę się nie denerwować, lądowanie samolotu to nic strasznego – przemawiał dobrodusznie mój sąsiad.

Zignorowałam go, bo w mojej głowie rozbrzmiewał echem złowieszczy śmiech...

* * *

Choć stewardessa próbowała zagrozić mi drogę, odepchnęłam ją, wbiegłam do pokładowej łazienki i natychmiast się w niej zamknęłam. Wcześniej obawiałam się widowiska ze swoim

udziałem, teraz stało się dla mnie obojętne, co pomyślą inni. Najgorsza była świadomość, że coś niedobrego działo się z moją głową. W panice opryskałam twarz zimną wodą, po czym potarłam ją mokrymi dłońmi. Czynność ta przyniosła ulgę rozpalonym policzkom, ale nic poza tym. Nie potrafiłam się uspokoić. Cały czas próbowałam dociec, dlaczego słyszałam głos, którego nie słyszał nikt inny – tak, zapytałam siedzącego obok współpasażera, czy też słyszy śmiech. Odpowiedział, że w danej chwili w samolocie mnóstwo ludzi rozmawia, lecz nikt się nie śmieje.

Podniosłam głowę znad umywalki i spojrzałam w swoje odbicie. Przerazenie aż biło z prawie czarnych oczu, których tęczęwki zlewały się ze źrenicami w jedną wielką kulę. Działo się tak tylko w sytuacjach, gdy się bałam. Normalnie miałam oczy jasnobrązowe, wpadające w kolor żółty, jeśli się z czegoś cieszyłam, oraz w pomarańcz ze złości. Kiedy byłam dzieckiem, badano tę anomalię, ale niczego nietypowego poza zmieniającym się kolorem tęczęwek, zależnym od humoru, nie znaleziono.

Pod drzwiami toalety zebrało się więcej głosów, które nakazywały mi natychmiastowe opuszczenie pomieszczenia.

Kilka razy odetchnęłam głęboko, starając się uspokoić. Zamknęłam oczy i przywołałam wspomnienie twarzy narzeczonego. Tylko on działał na mnie kojąco. Wiele bym oddała, by porozmawiać z nim choć minutę, niestety było to niewykonalne. Samolotem zatrzęsło, aż musiałam się złapać umywalki, aby nie upaść. Nie przemyślałam swojego szaleńczego biegu w to miejsce i na pewno czekały mnie jakieś konsekwencje związane z lądowaniem w łazience. Gdy koła dotknęły ziemi i wszystko się unormowało, kolejny raz umyłam ręce, a potem opłukałam twarz. Lekko oszołomiona ponownie spojrzałam w lustro – oczy wyglądały już normalnie. Wiedziałam, że coś

straszego spowodowało to, że jeszcze chwilę temu tęczęwki były czarne, ale nawet wysilając umysł, nie mogłam sobie przypomnieć, co mnie tak wystraszyło.

Zebrałam się na odwagę i opuściłam toaletę. Stałam oko w oko z dwójką osób: stewardessą, która obsługiwała nasz przedział, oraz z jednym z pilotów. Oboje mieli wrogie miny, a ich oczy aż ciskały gromy ze zdenerwowania. Skruszonym tonem rzuciłam szybkie „przepraszam” i nie robiłam awantury, gdy pilot złapał mnie za ramię, by przytrzymać w miejscu podczas kołowania. Zaraz po zatrzymaniu się samolotu, do środka weszło dwóch funkcjonariuszy ochrony lotniska, którzy już czekali na mnie, zapewne poinformowani o moim wyskoku. Wyprowadzili mnie jako pierwszą, bez możliwości zabrania swojego bagażu podręcznego.

* * *

Po załatwieniu wszelkich formalności związanych z mandatem, jaki dostałam za pobyt w toalecie podczas lądowania, odebrałam bagaże, a potem taksówką udałam się na inne lotnisko, skąd odlatywał mój samolot z kolejnym międzylądowaniem w Dubaju. Mając jeszcze kilka godzin do odprawy, podziwiałam słoneczne Buenos Aires z okna samochodu, uprzednio prosząc kierowcę, by zjechał z trasy i pokazał mi kawałek stolicy Argentyny. Tuż po zajęciu miejsca pasażera udało mi się dodzwonić do Coopera, który ledwie kontaktował, ponieważ u niego był środek nocy. Zaczęłam się zastanawiać nad tym, jakie to dziwne, że u mnie wciąż trwało „dzisiaj”, a tam rozpoczęło się już „jutro”. W tym momencie dzieliło nas tak wiele... W każdym razie cudownie było go usłyszeć, choć nasze

połączenie okazało się niezbyt dobrej jakości. Nie mogłam się doczekać, by skryć się w naszym mieszkaniu, zatonać w opiekuńczych ramionach narzeczonego i dać się porwać namietności w satynowej pościeli. Pragnęłam czułości, którą zawsze wychwytywałam z jego głosu podczas naszych zbliżeń. Brakowało mi tego niesamowicie przez ostatnie dni... Miesiące. Bez przerwy musiałam się przekonywać, że minęły miesiące od mojego wylotu na Antarktydę. Coś blokowało wspomnienia, a ja nie potrafiłam pokonać tej bariery, choć usilnie próbowałam.

Jedno z ostatnich wydarzeń, które pamiętałam doskonale, to uścisk dłoni nowego badacza. Przybył on do ośrodka dwa tygodnie po mnie. W międzyczasie zaaklimatyzowałam się wśród stacjonujących tam ludzi i... pingwinów. Mnóstwa pingwinów! Zdarzyło mi się kilka razy wyjść na spacer, choć były to wyprawy naprawdę trudne z powodu pokrywy lodowej, ale cechowała mnie wytrwałość w dążeniu do celu, więc zmuszałam do pieszych wędrówek Ruby – moją szefową. Już pierwszego dnia złapałyśmy świetny kontakt, wręcz osoba postronna mogła pomyśleć, że znamy się od lat. Nie były to długie wycieczki, ponieważ przyzwyczajona do ciepła nie potrafiłam się rozgrzać na tym lodowatym, wietrznym pustkowiu. Przeważnie zanim opuściliśmy teren stacji polarnej, która swoim wyglądem przypominała rozrzucone w nieładzie, kolorowe klocki Lego, już robiłam się zmęczona. Widziałam jednak kilka stad pingwinów cesarskich, nawet próbowałam im zrobić zdjęcia, ale moim starym telefonem nie wychodziły zbyt wyraźne, a nie chciałam straszyć ptaków, podchodząc za blisko. Gdyby nie cudowna zorza polarna i zadowolenie z faktu, że dane mi było nie raz jej

doświadczyć, uznałabym, że trafiłam na Antarktydę w najgorszym z możliwych momentów – podczas nocy polarnej.

Wracając do tematu tajemniczego badacza, którego twarzy nawet nie pamiętałam, po jego przybyciu powstało jakieś takie ogólne poruszenie. Odniosłam wrażenie, że był kimś ważnym, a jednak Ruby nie potrafiła mi o nim nic konkretnego powiedzieć poza tym, że pojawiał się zawsze wtedy, gdy na kontynent przyływała świeża krew – ludzie, i znikał, gdy sam o tym postanowił. Szefowa nie wiedziała, gdzie mieszkał na stałe, w których stacjach bywał, jakie prowadził badania. Jedyne, czego była pewna, to to, że miał pozwolenie na wstęp do ich ośrodka.

Razvan Achart, wydobyłam z dna umysłu, a kosztowało mnie to ukłucie bólu w skroniach. Już samo jego nazwisko budziło we mnie zaniepokojenie, choć miałam styczność z osobami różnego pochodzenia. Jeszcze większy niepokój poczułam podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy dotyk jego lodowatej dłoni i przeskakujące między naszymi ciałami wyładowania elektryczne spowodowały moją chwilową utratę przytomności.

– Dojechaliśmy – oznajmił kierowca taksówki, wyciągając mnie z odmętów umysłu.

W odpowiedzi wymusiłam z siebie słowa podziękowania oraz nieznaczny uśmiech. Kierowca pomógł mi wyjąć z bagażnika walizki i wskazał, gdzie mam się udać. Zanim jednak dotarłam do wejścia, stanęłam z twarzą skierowaną ku słońcu. Musiałam naładować akumulatory po ostatnich miesiącach nocy polarnej, a także w końcu się zagrzać, choć odnosiłam wrażenie, że chłód wnikał w moje ciało i nie zamierzał go opuszczać.

Opowiadanie
Uciec z własnej głowy
jest częścią antologii *Szczypta Magii*.



#szczyptamagii

Spis opowiadań

Daria Smolarek

Gdzieś pomiędzy

Katarzyna Jakubowska

Pierwsza sprawa

Magdalena Wojtkiewicz

Ostatnie pożegnanie

Natalia Hermansa

Wszystko o wiedźmach

Ewelina Domańska

Madrid

Paula Uzarek

Ośrodek magicznej odnowy biologicznej

Beata Sagan

Serce anioła

Katarzyna Muszyńska

Szkocki klan

Camille O'Naill

Duchy przeszłości

Anett Lievre

Uciec z własnej głowy

Sandra Czoik

Poświęcenie

Przeczytaj też



